

# Zmagań z żywiołem ciąg dalszy

Pojawiają się zarzuty różnej miary i natury: a to że za mało muzyki, a to że za mało gwiazd, filmów dużo, ale nie takie, koncepcja programowa również nie taka, że festiwal nie promuje miasta i nikt poza Łodzią o nim nie mówi. Trudno z nimi polemizować, bo są mocno subiektywne. Zgoła inny charakter ma pretensja, że festiwal jest za drogi – magistrat zawarł z organizatorami umowę na cztery lata, w pierwszym roku przekazał 4,5 mln zł, a na każdą następną edycję – po blisko 3 mln. Sprzeciw prowokuje postawa dyrektora, który na każde pytanie o budżet niezmiennie odpowiada: „za mały”. Rozumiem, że takie festiwale to są drogie rzeczy, że dotacja miejska to tylko fragment budżetu. Jaki? Nie wiemy. Transatlantyk współfinansuje Polski Instytut Sztuki Filmowej. Jest też wielu sponsorów. Oczekiwanie, że pan Kaczmarek powinien „tłumaczyć się” przed społeczeństwem (czyli za pośrednictwem mediów) z każdej wydanej złotówki publicznych pieniędzy i przekonać nas, że racjonalnie nimi gospodarował, nie jest żadną fanaberią (niezależnie od tego, że dotacja miejska została, bądź zostanie urzędowo rozliczona).

Tymczasem przeciwnicy „niewidocznego” festiwalu cieszą się, że pozostała już tylko jedna edycja. Co będzie dalej? Powstanie impreza, której nie da się nic zarzucić? Takie rzeczy się w Łodzi nie zdarzają, a poza tym nie ma idealnego festiwalu, który zaspokoiłby ambicje i oczekiwania wszystkich. Dla mnie Transatlantyk był propozycją namysłu nad współczesnym światem poprzez uczestnictwo w projekcjach filmowych, koncertach, spotkaniach, warsztatach, wykładach i debatach, możliwością poznania niezwykłych ludzi. Przyjąłem to, co organizatorzy przygotowali i nie rozczarowałem się. Obok mnie w salach kinowych i miejscach spotkań było wcale niemało innych uczestników (zdarzały się komplety na widowni). Jeśli ktoś mówi, że to festiwal dla nikogo i po nic, dowodzi swojej ignorancji i złej woli. Z drugiej strony oczywiście nie uważam, że Transatlantyk to najlepsze, co mogło nas spotkać.

Co stanie się za dwa lata, gdy nie będzie już Transatlantyku (jeśli Łódź nie przedłuży umowy, a ptaszki śpiewają, że w magistracie jedyną zwolenniczką tego festiwalu jest prezydent Zdanowska)? Nie spodziewam się wielkich zaskoczeń.

Tyle niepewna przyszłość. Wróćmy do tegorocznej edycji, która przeszła do historii. Mój problem z Transatlantykiem to przekleństwo konieczności wyboru. Nawet gdybyśmy na festiwalu spędzali cały dzień od 10 do 24, nie zdołalibyśmy obejrzeć wszystkich filmów, wziąć udziału we wszystkich wydarzeniach. Dlatego z góry odpuściłem sobie Kino Łózkowe (pogoda ewidentnie nie sprzyjała oglądaniu pod gołym niebem) i Kino Kulinarne jako nieco zbyt drogą przyjemność (bilet 200 zł). To, co zostało, i tak znacznie przekraczało możliwości czasowe człowieka pracującego. Wydarzeń było tyle, że decydując się na jakieś, często musiałem zrezygnować z trzech, czterech innych, które również chętnie bym „zaliczył”. We wtorek wieczorem, chcąc obejrzeć słynny „Dąb” Luciana Pintilie i spotkać się z odtwórcą głównej roli Razvanem Vasilescu, wykluczałem się z projekcji „Reedukacji Cameron Post” Desiree Akhavan połączonej ze światową premierą teledysku do piosenki „Come in” Paula Pedany oraz spotkaniem z kompozytorem i Kenem Stottem, odtwórcą głównej roli w klipie, aktorem znanym z trylogii Petera Jacksona „Hobbit”. Mniej więcej w tym samym czasie odbywała się projekcja „Yellow Submarine” The Beatles z posłowiem Piotra Metza, a także pokaz „Nad rzeką, której nie ma” i rozmowa z Andrzejem Barańskim, Markiem Bukowskim, Henrykiem Kuźniakiem i Ryszardem Lenczewskim, którzy pracowali przy tym filmie.

Zdarzyło się również tak: George Mihăiță, odtwórca głównej roli w „Rekonstrukcji” Luciana Pintilie, przed projekcją zaprosił widzów na rozmowę. Gdy film się skończył, spora część widowni opuściła salę, spiesząc na kolejny seans. Gość (Mihăiță jest dzisiaj dyrektorem Teatru Komedia w

Bukareszcie) poczuł się urażony, czemu kilkakrotnie dawał wyraz. To przykłady skutków napiętego grafiku festiwalowego.

Odpowiedzialne opisanie całego Transatlantyku z perspektywy uczestnika jest niemożliwe. Opowiem więc o tym, w czym udało mi się wziąć udział. Wydaje się, że w programie festiwalu dominowało kino społeczne traktujące o życiu wspólnot i jednostek. Taki był znakomity film otwarcia. „Nasze zmagania” (reż. Guillaume Senez) pokazują kameralny rodzinny kryzys, a jednocześnie realia pracy w wielkim centrum logistycznym, więzi z bliskimi i z kolegami w pracy, o poszanowanie praw których jako związkowiec troszczy się główny bohater Olivier. Pewnego dnia jego żona znika, zostawiając go z dwójką dzieci. To zmusza Oliviera do zrewidowania swoich relacji z rodziną, dostrzeżenia emocji najbliższych mu ludzi. Świetny wielowymiarowy scenariusz i dobra rola Romain Durisa.

O życiu rodzinnym opowiadają także inne filmy, które udało mi się obejrzeć, poczynając od „1000 gatunków deszczu”. Niemiecka reżyserka Isabel Prahl w swoim debiucie podejmuje temat wyobcowania, zaburzenia komunikacji między ludźmi. Dorosły syn z niewiadomych przyczyn zamyka się w swoim pokoju, co staje się początkiem rodzinnego dramatu. Z kolei o sile rodzinnych uczuć opowiada brazylijski przebój festiwalu w Sundance „Loving” (reż. Gustavo Pizzi). Mieszkające pod Rio de Janeiro małżeństwo z czwórką dzieci radzi sobie z wieloma przeszkodami, jakie pojawiają się w ich życiu. Kolejna próba siły miłości i przywiązania przychodzi, kiedy najstarszy syn, utalentowany bramkarz piłki ręcznej, dostaje propozycję gry w profesjonalnej drużynie w Niemczech. Hipokryzję świata, w którym zakazy prawa regulują życie seksualne obywateli, ukazuje francuski film „Sofia” (reż. Meryem Benm'Barek-Aloïsi). Wychowana w Belgii marokańska reżyserka opowiada o sytuacji niezamężnej młodej kobiety, która urodziła dziecko – o tym, jak kuzynka, zamożna ciotka i matka próbują pomóc jej (ale i sobie) wybrnąć z kłopotów. Narracja prowadzona jest z perspektywy kobiet żyjących w rozwarstwionym, patriarchalnym społeczeństwie.

Przykładem tego, jak kino przekracza zwyczajowe bariery i jak prawdziwe życie wkracza do kina, jest film Mariam Khatchvani „Dede” („Macierzyństwo”) – opowieść o świecie gruzińskich górali z surowego regionu Swanetia, o duchach, wojnach rodowych i porwaniach kobiet. Przed kamerą stanęli mieszkańcy wioski, w której reżyserka umieściła akcję filmu. Historię wymyśloną przez Mariam Khatchvani opowiedzieli własnymi słowami. Film pokazujący ciężki los pozbawionych praw kobiet na Kaukazie nakręciła jedna z nich. Mariam dzięki wsparciu ojca udało się opuścić rodzinną wieś, skończyć studia i zostać reżyserką. Rozmawiała o tym z widzami Transatlantyku po projekcji jej pełnometrażowego debiutu.

Filmem, który zrobił na mnie największe wrażenie, był „Profil” osiadłego w USA reżysera rosyjskiego Timura Bekmambetova. Jego akcja w całości rozgrywa się na pulpicie komputera w oknach przeglądarki internetowej, portalu społecznościowego i komunikatora. Opowiada o śledztwie młodej dziennikarki Amy, przygotowującej materiał o Europejkach uczestniczących w wojnie w Syrii. Mimo tak niezwyklej formy jest to film pełen napięcia i zwrotów akcji. Widz obserwuje subtelne zmiany relacji między Amy a werbownikiem Bilelem, młodym Brytyjczykiem walczącym w szeregach ISIS, w ramach podwójnej gry, którą oboje prowadzą. To także wstrząsająca opowieść o współczesnym świecie pędzącym w szalonym tempie, relacjach międzyludzkich zapośredniczonych przez Internet i „prawdziwym” życiu toczącym się na rozmaitych portalach, opowiedziana za pomocą środków należących do rzeczywistości nowych technologii.

Tegoroczny Transatlantyk stworzył okazję do zapoznania się z twórczością zmarłego niedawno Luciana Pintilie, mentora pokoleń rumuńskich filmowców. Pintilie – artysta zapomniany – w swoich filmach portretował absurdalną rzeczywistość totalitarnego reżimu. Konstruował filmowy świat,

eksponując pustą, rozległą przestrzeń, rozpad, błoto i brud. W opisie rumuńskiej przeszłości i terażniejszości posługiwał się groteską, czarnym humorem, potokami słów i ciągłymi zmianami nastrojów. Postać reżysera i kamera są integralną częścią tego świata. Tak jest w „Dlaczego biją w dzwony, Mitica?” (1981), farsowej historii zemsty zdradzonych kochanków, szalonym kontredansie pełnym krzyku, zamętu i karnawałowych przebierańców. Podobnie – w debiutanckiej „Rekonstrukcji” (1968), opowiadającej o próbie odtworzenia przed kamerą chuligańskiej burdy. Podsztyta absurdem akcja pokazuje różne sfery rumuńskiego społeczeństwa – kierownika baru, policjanta, nauczyciela i prokuratora. Obydwa filmy dwukrotnie przyniosły Pintilie zakaz twórczości w Rumunii. Do schyłkowej fazy totalitarnego systemu i śmierci Ceaușescu nawiązuje „Dąb” (1992) – historia miłosna rozgrywająca się w czasach rozpadu.

Interesującym doświadczeniem było obejrzenie nominowanego do Oscara filmu dokumentalnego „Twarze, plaże” (reż. J R, Agnès Varda) – wspólnym projekcie młodego fotografa i blisko 90-letniej legendarnej reżyserki, przedstawicielki francuskiej Nowej Fali. Artyści fotografują mieszkańców prowincji, poznając jednocześnie historie ich życia. Zdjęcia w olbrzymich formatach pozostawiają na ścianach domów, stodół, na parkanach i kontenerach w porcie. W prozaiczne miejsca „wprowadzają” sztukę. Film opowiadający o wspólnej wędrówce staje się kroniką rodzącej się przyjaźni i intymnym portretem wielkiej artystki.

Filmową ciekawostką zaprezentowaną na zakończenie festiwalu był pokaz pierwszego sezonu niemieckiego serialu „Babylon Berlin”, projektu Toma Tykwera. Historia rozgrywa się w 1929 roku w Berlinie – rozkwita tu awangarda i nocne życie, przepych sąsiaduje z biedą, wyuzdanie i zbrodnia przenikają sfery władzy, rodzi się faszyzm. Hipnotyczna narracja i sugestywne obrazy porywają widza, ale może przeszkadzać charakterystyczne dla serialowej formy rozciąganie akcji.

Skoro jesteśmy przy formie – od kilku lat w ramach Transatlantyku pokazywane są produkcje zrealizowane w technologii VR (virtual reality). Ogląda się je w okularach przypominających maskę do nurkowania, a obraz emitowany jest ze smartfona. Jego podstawową cechą jest to, że pole widzenia wynosi 360 st. (odwracając głowę, widz dostrzega kolejne fragmenty obrazu, jakby był wewnątrz przedstawionego świata). W tym roku odbył się konkurs „doświadczeń” VR. Niestety, nie udało mi się obejrzeć nagrodzonych produkcji, ale to, co widziałem, czyli np. półgodzinny reportaż z trasy koncertowej „Smolik – Kev Fox On the Road”, dało mi wyobrażenie o niesamowitych możliwościach nowego medium. Obraz i dźwięk w VR stwarza nową sytuację odbioru, a co za tym idzie, dodatkowe opcje kształtowania narracji i prowadzenia gry z widzem. Bez wątplenia otwiera się nowa rzeczywistość filmowa, przy której 3D jest tylko drobnym detalem i najprawdopodobniej niebawem odejdzie do lamusa.

Oczywiście projekcje filmowe to nie wszystko, bo festiwal dał możliwość spotkania z artystami filmu – reżyserami, aktorami, operatorami, scenarzystami, kompozytorami, krytykami. Wysłuchałem Sally Potter („Orlando”, „Party”), która ujęła mnie precyzją myślenia o pracy reżysera, świadomością celu i środków, a także sposobem, w jaki potrafi opowiadać o niemal intymnych relacjach z aktorami na planie, o zmaganiach z producentami i walce o pieniądze na swoje filmy. Diane Warren zachwyciła publiczność bezpośredniością. Na co dzień w zwykłych sytuacjach pozostaje nieco obok otaczających ją „zwykłych” ludzi. Podczas spotkania autorka muzyki i tekstów największych przebojów wielkich gwiazd (m.in. Beyoncé, Lady Gaga, Cher, Tina Turner, Aerosmith, Chicago), dziewięciokrotnie nominowana do Oscara, była zupełnie inna. Gdy ktoś z widowni próbował przekazać pytanie od koleżanki, która nie mogła być na festiwalu, Diane wypaliła: – Zadzwoń do niej! I rozmowa się odbyła, wszyscy słyszeli, jak bardzo zaskoczona jest Gosia z Kalisza. Wcześniej genialna kompozytorka opowiadała, że po napisaniu piosenki przeprowadza casting na wykonawcę, że czasem wybrańcom śpiewa utwór przez telefon, że nigdy nie nagrała własnej płyty, ale planuje wydać album ze starymi piosenkami we własnym wykonaniu. Bez wątplenia było to spotkanie z kimś

wyjątkowym.

Pouczały był z kolei warsztat „Pojęcia wolności – Narracje o wolności” prowadzony przez Jacka Wasilewskiego, medioznawcę, dziennikarza i pisarza. Jak pojęcie wolności i różne jego rozumienie może być elementem konstruującym narrację – bohatera i jego otoczenie oraz dramaturgiczne napięcia między nimi. Według jakich zasad budować i rozwijać opowiadaną historię. Wasilewski zilustrował swoje wypowiedzi ciekawą analizą wybranych scen filmu „Lot nad kukułczym gniazdem” Miloša Formana.

Gdzieś na obrzeżach festiwalu toczyły się warsztaty dla młodych producentów filmowych. Podczas jednego ze spotkań „Budżet bez granic” Irena Strzałkowska, przedstawicielka Polski w zarządzanym przez Radę Europy funduszu Eurimages, szczegółowo opowiadała o zasadach pozyskiwania dofinansowania filmów. Innym wydarzeniem towarzyszącym był Salon Polityki, w ramach którego Rafał Woś prowadził debaty z udziałem znanych osobistości polskiego życia publicznego. Rozpatrywano różne aspekty wolności, niepodległości, równości. W dyskusji pod hasłem „Czy wystarczy mieć konstytucję i trybunały, żeby zbudować prawdziwą demokrację?” spotkali się Ewa Łętowska i Andrzej Zybertowicz. Rozmowa miała charakter dość kulturalnej wymiany zdań odrębnych dotyczących aktualnej polskiej rzeczywistości, przy czym dyskutanci nie zbliżyli się raczej do sedna problemu. Pewnie dlatego spotkanie zakończyła pełna rozczarowania wypowiedź z sali.

Nie chcę analizować programu, porównywać go z innymi festiwalami. Zastanawiam się, co mi dało tych kilka dni z Transatlantykiem – czego się dowiedziałem, jakie wrażenia pozostały. Na pewno nie był to czas stracony.

**Bogdan Sobieszek**